Rozmaitosci.

Pismo to wychodzi w każdą NIEDZIELĘ, w Drukarni St. Gieszkowskiego.

Nr. 41 i 42.

Zaliczenie na 3 miesiące kosztuje Złp. 3.

Kraków dnia 19 Pazdziernika 1834 roku.

NIKCZEMNOŚĆ UKŁADÓW LUDZKICH.

Myśl wzięta z niemieckiego.

—

Ha! teraz jestem bogaty!
Rzecze Falstaft osiwiały;
Naypiérwsze w kraju magnaty
Będą mi tu cześć składały,
Bo ja o wzgląd ich niestoję,
Co zamyślę, to jest moje.

»Mam gwineców sto tysięcy,
W dobrach może drugie tyle;
Tu zbuduję gmach xiążęcy
By w nim słodkie trawić chwile....
Z téy góry na moje niwy,
Będę rzucał wzrok szczęśliwy.

»Niech inni majątki tracą,
Przez nierząd, złe obyczaje;
Tym prędzéy móy wzrośnie pracą,
Bo ja zbiéram, nie wydaję.
O jak miło wspomnieć sobie,
Że go wciąż robię i robię.

»Memu ladaco synowi,
Kupię mieysce w Parlamencie;
Niech tam czasem się przymówi
Za bilami o procencie...
Córkę weźmie naymniéy hrabia
Który sto na stu zarabia.

Lecz sam niebędę już sknérą,
Chcę tu wiéśdź królewskie życie,
Sześćdziesiąt lat mam dopiéro,
Jem i piję wyśmienicie;
Błoga mi jest i dziewczyna,
Równie jak lampeczka wina.

»Przy gwineach i przy zdrowiu,
Mogę przeżyć drugie tyle;
Jestem jak posąg z ołowiu,
Że w grób niełatwo się schylę;
Póki mam stosy gwineí,
Nielękam się téy kolei.

Tak! że ich mam, słodko czuję,
Że mam, śmiało się poszczycę;
Tu, mówię, zamek zbuduję,
A tam założę winnicę;
Tu pomarańczarnia stanie,
Tam kijosk, z godłem . KOCHANIE.

»Mieszkać w nim będzie *Urszula*,
Na którą dziś zwracam oczy;
Oh! serce mi się rozczula,
Gdy wspomnę moment uroczy....
Jak ja tam ją, jak mnie ona,
Wdzięcznie przytuli do łona.

»Co dzień nayświéższy melonek,
Lub też arbuzik różowy,
Jak tylko zawita dzionek,
Złożę u nóg méy królowéy
Stroyny w ananasy, wiśnie;
A ona mię za to ściśnie.

»Człowiek tak jak ja bogaty,
Powinien i żyć i użyć. —
Psują mi widok te chaty!...
»Ekonomie! każ je zburzyć.«
»Gdzież póydą biédni chłopkowie?«
Z żalem ekonom odpowie...—

»Ey!... co tam,— co mnie obchodzi,
Los tego bydła na świecie?
I ten młyn równie mi szkodzi;
Zaraz dziś mi go sprzątniecie....»

»Panie! to się stać niemoże,
»Gdzież oni mleć będą zboże?
»Niech sobie mielą zębami,
My Falstaft, my Pan, tak chcemy...« —
Umilkł ekonom ze łzami
I stanął w kącie jak niemy;
Strwożyła go dzika dusza,
A w tym Falstaft się zakrztusza!
Ratunku! woła i pada,
Krew go zaléwa i kona. —
Otóż i cała parada,
W jednéy minucie skończona;
W trzy dni, w dole zakopany
I z nim samolubcze plany.
John Falstaft syn, — wszystko utracił,
Nawet i majątek siostry;
Oszustów, graczy wzbogacił,
A sam znosząc wyrok ostry,
Zamiast radzić w parlamencie,
Robi wiosłem na okręcie.
Miss Falstaft, tym się niezraża,
Bo w cnocie znaydując miano,
Służy dotąd u młynarza,
Którego młyn zburzyć chciano;
I kochając jego syna,
Młynarką będzie hrabina.
Ow zamek, on pałac rzadki,
Niestanął na szczycie skały;
Chłopków zaś spokoyne chatki,
Stoją do dziś dnia, jak stały;
A ten co knuł ich zniszczenie,
Poszedł w wieczne zapomnienie.

NOC PAMIĘTNA.

Było to w kwietniu, moje zatrudnienia zatrzymywały mnie w Pradze w Czechach. Po mimo przyjemnych rozrywek które tam znaydowałem, nie mogłem przytłumić chęci powrócenia do mojego miasteczka, gdzie mnie już od sześciu tygodni oczekiwała młoda małżonka. Od czasu naszego pobrania się, nigdyśmy na tak długi czas nie byli rozłączeni. Emma pisywała do mnie co niedziela listy pełne czułości i przywiązania, ale tym sposobem, powiększała jeszcze moją niecierpliwość. Chciałbym, ażeby Praga i jéy święty patron Nepomucen, o trzydzieści tysięcy mil za mną się znaydował. Gorące Bogu złożyłem dzięki, kiedy zupełnie pokończywszy to, co móy wyjazd wstrzymywało, pożegnawszy się z kilkóma przyjaciółmi, kazałem gospodarzowi podać sobie rachunek. Chciałem zaraz nazajutrz pocztą odjechać. Rachunek gospodarza obfitował w mnóstwo cyfer liczebnych; nie miałem tyle gotowych pieniędzy, ażebym go mógł zaspokoić i przedsięwziąść podróż pocztą, chciałem więc zmienić bilet bankowy. Szukałem po wszystkich kieszeniach pugilaresu, ale go żadnym sposobem znaleść niemogłem. Aż mi się słabo zrobiło. Móy pugilares bowiem, zawierał dwa tysiące talarów w papierach, a to wcale nie jest fraszką w tych ciężkich czasach. Chociaż przewróciłem wszystkie rzeczy i całą moją stancyą, pugilaresu nigdzie niebyło.— Boże łaskawy! mówiłem sam do siebie, człowiek na jednę chwilę nie może bydź szczęśliwy, zawsze czart na jego zgubę czycha, aby mu jakiego wypłatał figla. Nienależałoby się z niczego cieszyć, a tym sposobem oszczędzilibyśmy sobie wiele frasunku! Aż nadto tego dzisiay doświadczam. — Pugilares został skradzionym, albom go zgubił. Wczoray wieczorem miałem go jeszcze w ręku, i zawszem go kładł do kieszeni mojego surduta.— Listy od żony w nim się także znaydowały. — Jakimże sposobem odzyskać potrafię moje bilety? Znalazca może je niezwłocznie zmienić. Zacząłem wówczas jak naymocniéy przeklinać, chociaż rzetelnie powiedziawszy, nigdy niemiałem tego brzydkiego nałogu. — Gdyby to tak było teraz, jak w dawnych dobrych czasach, i gdyby diabli włóczyli się po świecie czychając na swoją zdobycz, byłbym zaraz może z nimi zawarł umowę. Ta myśl przywiodła mi na pamięć pewną postać, którą przed ośmiu dniami widziałem, niezmiernie podobną do szatana, w całéy jego okazałości.— Dreszcz mnie przeszedł, a wszelako tak byłem zmartwiony, żem sobie mówił: co mi to szkodzi, aby mi tylko oddał móy pugilares.— W téy saméy chwili zapukano do drzwi. — O! o! pomyślałem sobie, czyż sza-

tan kusiciel chce mnie za słówko złapać. Pobiegłem do drzwi, myśląc o owym człowieku, lecz niespodziewałem się że to on będzie.— O zadziwienie! drzwi się otworzyły, i ten o którym myślałem, wszedł kłaniając mi się po kilka razy.— Muszę pierwéy powiedzieć, gdziem się zapoznał z tym jegomością, abym nieuchodził za rozmarzonego fantastyka. — Raz wieczorem poszedłem na kasyno, gdzie mnie jeden z moich przyjaciół wprowadził. Przy jednym stoliku, widziałem dwóch mężczyzn głęboko zanurzonych w myślach przy szachownicy. Kilku młodych ludzi stało pod oknem, i opowiadali sobie zadziwiające o strachach powieści. Mały jakiś jegomość, w wieku już podeszłym, w sukni ponsowéy, krzątał się tu i owdzie po całéy sali. Ja wziąłem się do czytania gazet.— Nikt nie zaymował tak mojéy uwagi, jak przechadzający się czerwono-ubrany. Zapomniałem i o gazetach, i o woynie hiszpańskiéy. Było coś w jego ubiorze, rysach twarzy, a nawet i w sposobie postępowania, tak szorstkiego i odpychającego, że się mu niemożna było długo przypatrywać. Wzrostu był małego, ale mocno zbudowany, i mógł mieć 50 do 60 lat. Włosy czarne i połyskujące, okrywały jego płaskoszéroką głowę i spadały śpiczasto na czoło.— Twarz brunatna, nos zadarty, jagody policzków bardzo wydatne, oczy wielkie, rzucające przenikliwe spoyrzenia w tenczas, kiedy rysy twarzy były nieporuszone. Myślałem sobie, ten człowiek się urodził, aby był katem, inkwizytorem, albo zbóycą. Niechciałbym się z nim spotkać na jednéy drodze. Zapewne się nigdy nierozśmiał w swém życiu. Myliłem się. Słuchając co młodzież pomiędzy sobą mówiła, zaczął się śmiać, ale Boże odpuść! co za śmiech; drżałem cały, była to radość przeklętego ducha, kiedy się piekło otwiéra, aby swoją zdobycz przyjęło. Pomimowolnie spoyrzałem na jego nogi, czy niezobaczę sławnego koźlego kopyta; i w istocie noga lewa zasznurowana w ciżmie, była tém, co zwykle nazywają kulasem. Chromał, a jednak chodził tak cicho, że nawet niesłychać było jego kroków. Trzymałem zawsze przed sobą gazetę, ale móy wźrok śledził tę zadziwiającą postać.— Gdy przechodził wedle stolika szachów, jeden z graczów rzekł do swego przeciwnika: «jesteś zgubionym, niema ratunku!» Czerwony człowiek zatrzymał się na chwilę, rzucił szybkim wźrokiem na grę, i powiedział do zwycięzcy: «Pan jesteś ślepym, za trzeciém ciągnieniem będziesz miał mata.» Wygrywający rozśmiał się z pogardą; przegrywający kiwał głową powątpiéwając, lecz za trzeciém poruszeniem, piérwszy w istocie dostał mata. Kiedy gracze ustawiali na nowo swoje szachy, jeden z młodych ludzi, rzekł do czerwono-ubranego: «Pan się śmiejesz, i widzę, że jesteś przeciwnego zdania. Czyś czytał Schellinga? — Zapewne, że czytałem. Schelling jest poeta biorącym marzenia swojéy wyobraźni za rzeczywistości. Z filozofami jest dzisiay toż samo, co było od wieków. Slepi, rozprawiają o teoryi kolorów, a głuchoniemi o doskonałych akordach w muzyce.— Te słowa narobiły wielkiéy wrzawy, podczas któréy suknia ponsowa wziąwszy swóy kapelusz, zniknęła. Nigdy go przedtem niewidziałem, ale niemógłem zapomnieć téy piekielnéy fizyonomji, którą się lękałem zobaczyć we śnie. I ten to człowiek niespodzianie znalazł się w moim pokoju.—«Przepraszam, jeżeli Panu przeszkadzam, rzecze. Czy mam zaszczyt mówić z Panem Robertem de ....? — Tak jest, ja nim jestem, odpowiedziałem. — Jakże mi Pan tego dowiedziesz?— Szczególne zapytanie, pomyślałem sobie. To zapewne będzie jakiś ajent policyjny. — Leżał na stole list na pół przedarty, pokazałem moje nazwisko na kopercie. — To dobrze rzecze. Ale bo Pan masz nazwisko, które jest bardzo pospolite; można je znaléźć we wszystkich zakątkach Niemiec, Węgier i Polski Doday mi do tego jakie szczegóły. Chciałem weyść z Panem w umowę. Wskazano mi właśnie Pana jako..— Przepraszam bardzo, ale ja teraz niemyślę wcale o żadnych innych zatrudnieniach, prócz, żebym ztąd jak nayprędzéy wyjechał, a mam jeszcze

tysiąc rzeczy do załatwienia. Zresztą Pan się mylisz na mojéy osobie, ja nie jestem kupcem ani handlarzem. — Spoyrzał na mnie swémi ogromnémi oczyma. Ah! ah! rzecze.»—Milczał przez kilka chwil, potém zdawało się że chce odeyść. Ale przemówił: wszelako Pan tutay trudniłeś się handlem. Twóy brat który mieszka w W*** niejestże bliskim bankructwa? — Zarumieniłem się i zadrżałem, gdyż nikt w świecie niewiedział o téy okoliczności, tylko móy brat i ja. Jegomość czerwono ubrany począł się uśmiéchać z miną zadowalniającą.— Mylisz się Pan i w tém, odpowiedziałem. Mam kilku braci, to prawda, ale żaden z nich niemyśli o bankructwie, i niema powodu obawiać się podobnego nieszczęścia.— Ha! ha! mruknął sobie, i jego rysy twarzy zostały martwémi. — Łaskawy Panie, rzekłem nakoniec z pewną niechęcią, (gdyż właśnie niebyłoby mi na rękę, gdyby się kto dowiedział w Pradze o położeniu mojego brata), musi tu bydź jakaś pomyłka. Przymuszony jestem upraszać go, ażebyś mi powiedział, co mi sprawia przyjemność jego odwiedzin, gdyż prawdziwie mało mam czasu do stracenia.— Proszę o chwilkę cierpliwości, odpowiedział. Bardzo mi potrzeba z Panem pomówić. Zdajesz mi się bydź niespokoynym i pomięszanym. Czy ci się zdarzyło co nieprzyjemnego? Jesteś tu cudzoziemcem. Ja równie jestem tu obcym, to prawda, i znam miasto dopiéro od dni 12. Ale proszę, zwierz mi się. Masz prawdziwie powiérzchowność poczciwego człowieka. Możebyś potrzebował pieniędzy?»— Począł się śmiać albo raczey zgrzytać. Zdawało się, że widzę czarta targującego się o moją duszę, rzuciłem mimowolnie okiem na jego ciżmę i nie mógłem się pozbyć jakieyś zabobonney bojaźni. Odpowiedziałem mu zimno, że w cale nie potrzebuję pieniędzy. Ależ Pan, co mi obiecujesz tyle grzeczności, czy pozwolisz zapytać się o swoje nazwisko?— Moje imie nie może Pana w cale zaymować, i nie należy zupełnie do rzeczy, o którą idzie. Jestem Mannteuffel (*). Będzieszże Pan we mnie pokładał teraz więcey wiary?— W mojém zadziwieniu i pomięszaniu, sam niewiedziałem co mu odpowiedzieć na to, nie mogąc nawet poznać, czy żartuje, lub prawdę mówi.— Drzwi się otworzyły, i gospodarz wszedł trzymając list który przyszedł z poczty. Odebrałem go.— Przeczytay Pan pierwey ten list, rzecze czerwona figura, potem pomówimy. To zapewne jest list od kochaney Emmy.— Jeszcze się bardziey zdziwiłem niż w przódy.— Wieszże Pan teraz kto jestem, i czego od niego żądam, rzecze obcy ze swym piekielnym uśmiéchem. Chciałem mu odpowiedzieć: widzę żeś szatan, i żądasz porwać moją biedną duszę! ale się wstrzymałem.— Jeszcze jedno słowo. Poniewasz Pan jedziesz do W***, moja droga również tamtędy przypada; chceszże przyjąć mieysce w moim powozie?— Podziękowałem, mówiąc, że już posłałem na pocztę po konie. W tenczas zdawał się bydź pomięszany. Nie ma sposobu, rzecze, żeby się do Pana zbliżyć. Ale ja koniecznie muszę zobaczyć Pańską żonę Emmę, Augusta, i małego Ludwika. I jeszcze nie zgadujesz czego od ciebie żądam? Cóż u licha! Chciałbym Panu zrobić przysługę. Mówże więc?— Dobrze! odpowiem nakoniec. Jeśli Pan jesteś wieszczkiem, możesz mi bydź wielce użytecznym. Zgubiłem pugilares; powiedz mi jakim sposobem mógłbym go odzyskać?— Co ci po twoim pugilaresie? czyż nie mogę mu usłużyć w czém innem?...— Miałem w tym pugilaresie ważne papiery, i za dwa tysiące talarów wartości. Cóż mam czynić jeżeli mi go skradziono?— Jakiż był ten pugilares?— Pokryty zieloną kitayką i ożdobiony moją haftowaną cyfrą. Była to praca mey żony.— Kiedy tak, pokrycie więcey było wartem, niż to co pugilares zawierał. Począł się znowu śmiać szyderczym tonem: cóż mi Pan dasz, rzecze, jesli

(*) Dosłowniej, człowiek diabeł. Hrabiowie de Mannteufel należą do bardzo starożytney rodziny w Niemczech, która wydała kilku sławnych ludzi.

wynaydę tę zgubę?— Po tych słowach, wlepił we mnie oczy, jak gdyby się spodziewał, że mu odpowiem: oddam ci moją duszę! Widząc że milczę, sięgnął do kieszeni i dobył móy pugilares.— Odszedłem od zmysłów. Zacząłem potem przeglądać moje papiery, i przekonałem się, że nic nie brakowało.— Znalazłem ten pugilares wczoray, o godzinie 4tej, na moście Mołdawy, rzekł mi.— W istocie przechodziłem przez most o tey godzinie i przypomniałem sobie, żem otwierał pugilares w tém mieyscu.— Ponieważ nie wiedziałem rzecze, kto go zgubił, otworzyłem i przeczytałem papiery które zawierał, abym się dowiedział kto jest właścicielem. Z adressu jednego powziąłem wiadomość o nazwisku i mieszkaniu: byłem tu już wczoray, alem Pana w domu nie zastał.— Gotów byłem rzucić się na szyję, temu czerwonemu jegomości. Moja radość była tyle żywa, ile boleść pierwey była głęboką. Starałem się jak nayuprzeymiey mu podziękować, ale nie chciał mnie nawet słuchać.— Szczęśliwey podróży! Zobaczymy się! powiedział to, i znikł. Nie myślałem już o niczem więcey jak o odjeździe. Zaspokoiłem gospodarza. Móy lokay niosący mantelzak, poprzedzał mnie na wschodach. W tey chwili brat, z przyczyny którego przybyłem do Pragi, wchodził na wschody. Móy wyjazd tym sposobem nieco się spóźnił. Powróciliśmy do pokoju. Tam dowiedziałem się z radością, że położenie jego zupełnie się polepszyło. Przybiegł umyślnie do Pragi, aby mi sam zwiastował tę dobrą nowinę. Teraz, rzecze, doprowadziłem moją łódz do portu, i pożegnałem się z handlem na zawsze. Nie chcę się wystawiać na to, ażebym jutro był Panem milionowym albo żebrakiem; szanowanym albo schańbionym. Przybywam do Pragi dla ukończenia wszelkich moich stósunków handlowych, a potem osiądę w naszem miasteczku. Poprowadziłem brata do kilku domów, który domyślając się, że chciałbym odjechać, radził mi niezwlekać dłużey. Z chęcią usłuchałem jego rady. Moja podróż trwała dwa dni i jednę noc, ale bardzo późno przybyłem drugiego dnia. Zachęcałem jak mógłem postyliona, pieniędzmi i słowami; noc się zbliżała, a byłem jeszcze oddalony od celu mych życzeń. Prawie od trzech miesięcy nie widziałem Emmy. Drżałem z radości, że w krótce znaydę się w objęciach tey, którą jedynie kocham. W prawdzie przed poznaniem Emmy, kochałem inną. Żyła dla mnie niegdyś Julija, którą mi wydarła duma jey rodziców i która poszła za bogatego szlachcica polskiego. Była to pierwsza miłość dla nas oboyga; rozstając się, przysięgliśmy sobie wieczną miłość, a nasze łzy i pocałowania stwierdziły tę przysięgę. Ale wiadomo jak się kończą gwałtowne namiętności. Ona została Panią starościną, a ja zobaczyłem moją Emmę. Uczucie, jakie we mnie wznieciła, było szanowniey-szém świętszém i tkliwszém. Julija była boginią mojey wyobraźni, a Emma bóstwem mojego serca. Zegar mieyski wybił pierwszą godzinę, kiedyśmy wjeżdżali w te ciche i samotne ulice. Wysiadłem w domu pocztowym i zostawiłem tam mojego lokaja, chcąc sam powrócić dla przespania się, jeżeli wszystkich w moim domu znaydę już śpiących. Udałem się nakoniec na przedmieście, gdzie stał móy domek. Wszystko zasypiało spokoynie! O Emmo! Emmo! gdybyś była na mnie czekała, ile byś utrapienia i boleści była mi oszczędziła. Wszyscy spali, moja żona, moje dzieci, moi ludzie. Nigdziem nie uyrzał żadnego światła. Dziesięć razy naokoło dom obszedłem. Nie chciałem obudzić nikogo. Szczęściem, znalazłem małe drzwiczki pawilonu ogrodowego otwarte, które zapomniano zamknąć. Wszedłem. Na stole stał koszyk od roboty mojey żony; po blasku xiężyca, uyrzałem rozrzucone na posadzce i na krzesłach, koniki drewniane, trąbki i bicze moich dzieci. Zapewne tu się bawiły po południu. Byłem szczęśliwym w pośród tych zabawek. Usiadłem na sofie i postanowiłem tam noc przepędzić. Noc była pogodna, niebo czyste, a wonność z drzew kwiatem okrytych, aż do mnie dochodziła.— Kiedy kto przez 40 godzin

był pozbawionym słodyczy spoczynku, w cale jest nie trudnym w wyborze łóżka. W krótce zasnąłem. A ledwie zamknąłem oczy, kiedy skrzypnienie drzwiami, znowu mnie przebudziło. Wstałem i zobaczyłem wchodzącego jakiegoś męszczyznę. Z początku wziąłem go za złodzieja. Niech sobie każdy wystawi moje zadziwienie: była to suknia czerwona!— Z kądże Pan przyjeżdżasz? zapytałem go.— Z Pragi. Odjeżdżam za pół godziny. Chciałem Pana zobaczyć przejeżdżając, abym danego dotrzymał słowa. Dowiedziałem się od twego lokaja, żeś dopiero przybył, i spodziewałem się zastać cały dom w poruszeniu. Rozumiem, że nie zechcesz nocować w tak wilgotném mieyscu.— Wyszedłem z nim do ogrodu drżąc cały, tak mnie to nagłe ukazanie się jego przestraszyło. Gdybym mógł dać wiarę o Mefistofelesie, myślałbym, że stoi przedemną. Smiałem się w duchu sam z siebie, z mego przelęknienia, a wszelako nie mógłem się przekonać. Rysy ostre mojego przyjaciela z Pragi, wydawały się jeszcze strasznieyszemi przy świetle xiężyca, a jego oczy jeszcze się więcey iskrzyły.— Przestraszyłeś mnie prawdziwie jak jakie widmo! rzekłem mu. Jak mógłeś znaleśdź drzwi do tego pawilonu? Wiesz o wszystkiém.»— Począł się śmiać swoim sposobem: cóż czy mnie znasz teraz zapyta, i czy wiesz czego od ciebie żądam?— Prawdziwie, nie znam ja Pana tutay lepiey jak w Pradze. Ale w istocie, gdybym był zabobonnym, wziąłbym cię za diabła; ale chociażby i tak było, nie mógłbym lękać się ani twoich ofiar, ani usług, gdyż szczęście moje jest zupełném.— O to! czy myślisz, żeby diabeł przychodził ci robić ofiary, i podarunki? To było wybornem w dawnych czasach, kiedy ludzie wierzyli jeszcze w diabła i strzegli go się; wówczas trzeba było czynić umowy. Ale dzisiay gdy już nikt w to nie wierzy, kiedy zdrowy rozum chce sądzić o wszystkiém, daleko łatwiey podchwycić ludzi.— To właśnie nazywa się mowić po diabelsku! zawołałem.— Zapewne odpowiedziała czerwona figura śmiejąc się. Powiadam prawdę, bo więcey jey nikt wierzyć nie chce. Póki prawda była świętą, szatan był przymuszony zrobić się oycem kłamstwa, teraz wszystko się zmieniło, a my biedne diabły, jesteśmy zawsze przeciwnikami ludzkości.— Wówczas, nie jesteś moim przeciwnikiem, gdyż ja w tey mierze podzielam jego zdanie.— Dobrze, jesteś więc już moim. Kiedy mi kto pozwoli tylko jednego swego włoska, mam już w mocy mojey całą jego głowę. Ale tu jest zimno i powóz zapewne jest zaprzężony; muszę jechać, żegnam Pana. Odprowadziłem go aż na pocztę, gdzie na niego czekał powóz.— A gdybyśmy weszli na chwilę do domu, i pożegnali się przy szklance ponczu, który kazałem odchodząc przygotować?— Przyjąłem zaprosiny. I ja także, rad byłem schronić się na chwilę do ciepłego pokoju.—

Gdyśmy weszli do pokoju poncz stał już przygotowany na stole. Jakiś cudzoziemiec przechadzał się po sali z posępną miną; był to starzec wysokiego wzrostu i hożey kibici. Zawinięcia, pudełka, rozrzucone były po wszystkich meblach; uważałem także szal, słomiany kapelusz i rękawiczki damskie. Pijąc poncz, cudzoziemiec rzekł do służącego, który przyszedł zabierać rzeczy: powiedz mojey żonie, jak powróci, żem się położył; pojedziemy nadedniem.— Nie chciałem powracać do pawilonu w ogrodzie i kazałem przygotować sobie łóżko. Cudzoziemiec wyszedł. Jeszcześmy czas niejaki rozmawiali, wypróżniając szklanki. Nareszcie człowiek czerwono ubrany wstał, a gdym mu pomagał wsiąśdź do pojazdu, rzekł mi: jeszcze się zobaczemy! Powracając do izby zastałem jakąś damę, która zbierała szal i rękawiczki; obróciła się na moje przyjście, i prawiem utracił zmysły. Była to Julia, moja pierwsza miłość. Nie mniey i ona się przelękła.— W imie Boskie, tyżeś to! albo twóy duch Robercie?— Julio! zawołałem: i wszystkie wspomnienia miłości obudziły się na jey widok. Zbliżyłem się do niey, jéy oczy napełnione były łzami, rzuciłem się w jey objęcie,

upojony roskoszą. Po pierwszém oświadczeniu naszey zobopólney miłości, przypomniała sobie mieysce, w którém byliśmy. Chodź do mojego pokoju Robercie, rzecze, zarzucając szal na swoje ramiona, mamy tyle rzeczy sobie do powiedzenia. Poszedłem za nią, usiedliśmy na sofie. Tu, rzekła, możemy rozmawiać swobodnie! I opowiedzieliśmy sobie całe przeszłe życie. Doznawałem znowu obłąkania dawnéy miłości, którą mniemałem bydź zupełnie zgasłą na zawsze. Julija nic nie utraciła ze swojéy ku mnie przychylności; była ona pięknieyszą i powabnieyszą jak nigdy. Wspomniała mi o naszych dawnych przysięgach; ogień namiętności pałał w naszych spoyrzeniach i mowie. Wdzięk niewymowny, panował w wyrazach i całéy postawie Julii. Wszystkie przeszłe chęci, obudziły się we mnie; przypomniałem jéy, piérwsze nasze spotkanie na balu w dzień ślubu jéy siostry, nasze schadzki w ogrodzie xiążęcym, nasze przejażdżki po wodzie z krewnymi. Wkrótce, nie było już więcéy dla nas przeszłości i przyszłości. Zapomnieliśmy, że nie należymy więcéy jedno do drugiego; mówiliśmy płacząc, o dniu naszego rozłączenia... i... o ułomności ludzka!.... Nagle drzwi się otworzyły, i chudy starzec wszedł, mówiąc: któż tu jest, tak późno z tobą Julijo? Porwaliśmy się przelęknieni. Starosta zatrzymał się na chwilę, blady i skamieniały; potém rzucając się ku Julii, porwał ją za jéy długie czarne włosy, i wlokł po posadzce, krzycząc: niebaczna! cóżeś uczyniła! Chciałem ją ratować; odepchnął mnie tak silnie, żem w znak upadł. Powstałem szybko, ale biegł do mnie, aby mię drugi raz powalić. W mojéy rozpaczy, wziąłem nóż na stole leżący i groziłem mu nim dla przerażenia go; ale w ślepéy zapamiętałości, porwał mnie za gardło, i usiłował zadusić. Bliski wyzionienia ostatniego tchu, wywijałem moim orężem na wszystkie strony; nakoniec dosięgnąłem go i natychmiast upadł. Nóż przeszył serce. Julija upadła bez zmysłów przy swoim mężu. Ztrętwiałem w rospaczy, nie wiedząc co począć. O nieszczęśliwa Emmo! o moje biedne dzieci! zawołałem, wasz oyciec jest mordercą! Hałas naszego szamotania się i walki, obudził domowników. Słyszałem chodzących, zbliżających się, stukających do drzwi. Nie pozostawał mi inny środek tylko ucieczka. Wziąłem świecę, dla wyjścia z ciemnych zakrętów domu, i oddaliłem się. Schodząc na dół, myślałem pobiedz do mojego domu, wszystkich pobudzić, po raz ostatni przycisnąć do mojego serca, i potém uciekać w świat jak drugi Kaim, dla oswobodzenia się od sprawiedliwości ludzkiéy; ale uyrzałem moje suknie zbroczone krwią starosty i lękałem się bydź odkrytym. Brama domu od ulicy była zamkniętą; powracając znowu ua podwórze, posłyszałem krzyki i szemrania za sobą, przebiegłem dziedziniec uciekając ku stodołom; wiedziałem bowiem, że tamtędy mógłbym się dostać na pola i ogrody, które się znaydowały z tyłu miasta.

(Dokończenie nastąpi.)

FRASZKI.

—

Niedawno ucywilizowany żyd przyjechał ze Szląska do Wiednia; a że był nieco elegant i przytym pełen próżności na którey żydom nigdy niezbywa, chciał więc od wszystkich bydź widzianym. Przypadkiem wchodzi do naypierwszey cukierni, i słyszy kogoś wołającego po francuzku: »*Verre d'eau!* (Szklankę wody!)— a rozumiejąc że się jego pytają »*Wer do? (Werda! Kto tam!)* z przesadzoną grzecznością odpowiada: »Jestem Icyk Heiman z Polkwitz, uczone Izraelita i podrużujące literat.»

—

Panienka, czytając ze swoją Madam biblią napadła w ostatnim wierszu stronnicy na te słowa: »*A Pan dał Adamowi żonę*» i niepostrzegłszy że dwie razem karty przewraca, czyta znowu od góry: *i była wysmarowana wewnątrz i zewnątrz smołą*. (Rozumie się że arka Nocgo.) Ach Madam, czy to bydź może! smołą wysmarowana!..—- Niech cię to niedziwi moja maleńka, odpowie światła mistrzyni, w tenczas musiała bydź taka moda.»—

—

Na rogu pewney ulicy zetknął się mącznik z kominiarzem, tak gwałtownie, że jedna po-

łowa zbielonego zwykle mącznika została czarną, a połowa kominiarza, który tylko co wyszedł z czeluściów, białą.— Przyszło z tąd do kłótni i rzecz wytoczyła się do wóyta, który, dla zagodzenia sprawy kazał obydwóch wytrzepać.

—

Wystaw sobie, rzecze młody krawczyk, do stolarczyka, że ja tego nie mogę pojąć jakim sposobem ci ludzie uczeni mogą naprzód zgadnąć, kiedy będzie zaćmienie słońca? Ja myślę, że tu musi bydz jakieś porozumienie z diabłem!— Ey, wielkie rzeczy, odpowié mu stolarczyk; to wszystko jest napisane w kalendarzu.»

—

Do pewnego obywatela stolicy, który miał zawsze dobrą piwniczkę, schodzili się ustawicznie dway pieczeniarze i nadużywając bezwstydnie jego uprzeymości, coraz więcey spijali mu wina. Nie raz dla wyłudzenia gęstszych kielichów i butelek, czynili między sobą filuterne zakłady, który którego przepije.— Co nadto, licha warto. Sprzykrzyło się zacnemu gospodarzowi to natręctwo; przedsiewziął więc odprawić ich na zawsze. Chcąc to grzecznie i nawzajem filuternie wykonać, użył następującego sposobu.— Spotkawszy się w kilka dni z pierwszym z nich na ulicy, rzekł: »Wiesz Pan co! mam wielką chętkę spoić aby raz tego Pana Michała, żeby się tak nie chełpił ze swą głową; ale do tego potrzebuję Pańskiey pomocy.— *Z całego serca, lecz jakże to zrobiemy?*— Oto tak. Zapraszam was na jutro na obiadek. Służący mój, przedemną i przed Panem będzie stawiał butelki z wodą zafarbowaną, a przed nim stare wino.— *Wyborny koncept*, (rzecze Makary), *a więc jutro?*— Tylkoż Pana proszę o sekret.— *Jestem tylko w obawie, żeby się niepomiarkował widząc nas trzeźwych, a siebie pijanym!*— Bagatele! udaymy więc także pijanych; odpowie zapraszający.— *Paradnie! ale już to przyznać potrzeba, że z Pana Jana wielki figlarz. Będziemy się też śmiać!* — Ale aż nazajutrz, nieprawdaż!— *To się rozumie.*— Więc czekam Pano Dobrodzieja?— *Nieuchybię minuty.*»— Chwała Bogu to już jeden, pomyślał sobie gospodarz, i poszedł prosto do drugiego. Po krótkich przywitaniach rzekł: »Ani się spodzieje Pan Michał, po co tu przychodzę?— *Jestem na rozkazy, słucham.*— Przyszła mi myśl szczególna. Wiesz Pan co? Spoymy jutro Pana Makarego, ale to tak co się nazywa!— *Pyszna myśl, bo też zawsze się chwali że ma głowę niezwyciężoną. Lecz jakże to wykonać?*— Nic łatwieyszego. Zaprosiłem go już do siebie na jutrzeyszy obiadek, i Pana toż samo zapraszam. Służący mój będzie przed nami obiema stawiał butelki z wodą zafarbowaną, a przed nim ogniste wino.— *Co za pomysł genialny! prawdziwie że wart uwielbienia!*— Ależ proszę o sekret!— *Ho! ho! przecie mnie Pan znasz dobrze, iż nie jestem papla!*— Apropos, jeszcze słówko!— *Słucham nayuniżeniéy.*— Oto, żeby przypadkiem niepostrzegł się na naszéy sztuczce, po kilku spełnionych pubarkach, udawaymy także pijanych. — *Ha! ha! ha! dowcipna myśl, prawdziwie że szatańska!*— A więc czekam! — *Będę służył niezawodnie.*»

Nazajutrz obadway zaproszeni, stawili się na oznaczoną godzinę.— Biesiadowano wesoło. Chcąc jeden z drugiego żartować w porozumieniu z gospodarzem, chwalili ciągle tęgość wina i pili na wyścigi wodę zafarbowaną; gospodarz zaś pił sobie lekkie wino, i ledwie zdołał wstrzymywać się od pustego śmiechu, na widok obu głupców. — Na czém się rzecz skończyła, snadny domysł. —

Gdy już obadwa natrętni pożegnali się z gospodarzem udając w ciąż pijanych, i wyśli razem na ulicę, zaczęli się śmiać do rozpuku, patrząc w oczy jeden drugiemu. — »I czegóż się tak śmiejesz, rzecze nakoniec Michał, jak byś był od kogo najęty?— *Ha, bo już niemogę wytrzymać, niech go diabli wezmą, co to za filut ten Pan Jan!*»— A więc z niego się śmiejesz?— *O! w cale nie! Ja się z ciebie śmieję móy bracie, że mu się tak dałeś spoić!*— Czy do prawdy? No! to ci winszuję! — *Jeszcze cię też nigdy tak pijanego niewidziałem, a chwalisz się, żeś wielki zuch!*— Tak sądzisz? a jak ja ci jednę rzecz wyjawię?— *Już to przyznay, że diabelnie złapaliśmy cię w pułapkę!*— Kto? z kim?— *Tylko się nierozgniewaу, krótko ci opowiem. Dowiedz się, że ja tylko udawałem przed tobą pijanego, bo my dziś z Janem, w skutek wczorayszey na ciebie zmowy, piliśmy tylko wodę farbowaną, a ty byłeś pojony starym węgrzynem!*— Upadam do nóg! Krzyknie Michał, więc obadwa jak widzę piliśmy jednakie wino.— *Co ty mówisz?*— A to nas podszedł zdradziecko!— *Więc jesteś trzeźwy?*— Jakże się miałem upić wodą?— *Dla czegożeś udawał pijanego?*— Bo on tak chciał! A ty dla czego?— *Bo on tak chciał!*— Jesteśmy tedy oba dudki!— *Rury do barszczu!*— Odprawieni z kwitkiem na zawsze. — *To rzecz jasna jak słońce.*— I każdy poszedł jak zmyty

—